Dodatekdo Nr. 281 „Naprzodu“.

Nr. 280. Kraków, poniedziałek 12 października 1903. Rocznik XII

Redakcya: ul. Basztowa, Hotel Centralny.
Administracya: ul. Sławkowska 29.
Adres na telegramy: Naprzod Kraków
Telefon Redakcyi: Nr. 396.
Listy należy adresować do Redakcyi „Naprzodu“ Kraków, ul. Basztowa, a prenumeratę, zamówienia i reklamacye do Administracyi „Naprzodu“, Kraków, ul. Sławkowska 29.
Reklamacye otwarte są wolne od opłaty pocztowej.
Numer pojedynczy 8 halerzy.
Numer poniedziałkowy 4 halerze.

NAPRZÓD

Organ polskiej partyi socyalno-demokratycznej

Wychodzi codziennie o godz. 7½ rano, a w po niedziałki i dni poświąteczne o godz. 10 rano
Do nabycia w Administracyi ul. Sławkowska 29 w filii ul. Poselska 15, oraz we wszystkich biurach dzienników.
Ogłoszenia przyjmuje Dział inseratowy: ulica Poselska 15, oraz biura ogłoszeń i dzienników St. Sokołowski we Lwowie, Pasaż Hausmanna Haasenstein & Vogler w Wiedniu, Berlinie Wrocławiu i Hamburgu; M. Opelik, R. Mosse i M. Dukes w Wiedniu; C. Adam w Paryżu rue de la Varenne 38.
Listy w sprawie inseratów i należytości za ogłoszenia adresować należy: Dział inseratowy „Naprzodu“, Kraków, Poselska 15.

Prenumerata wynosi: W Krakowie (bez odsyłki): miesięcznie 1 korona 60 hal., kwartalnie 4 kor. 80 hal., rocznie 18 kor. — Za dostawę do domu dopłaca się miesięcznie 40 hal. — W Austryi: miesięcznie 2 kor., kwartalnie 6 kor., rocznie 24 kor. — W Niemczech: kwartalnie 7 marek. — W innych krajach kwartalnie 10 franków. — Za każdą zmianę adresu dopłaca się 40 hal. — Dla robotników w Krakowie i Podgórzu tygodniowa prenumerata 40 hal.

Ogłoszenia (inseraty) kosztują od miejsca wiersza jednoszpaltowego drobnym drukiem (petitem) za pierwszy raz po 20 halerzy, następny po 10 halerzy. — Nadesłane od miejsca wiersza drukiem petitowym po 40 hal za każdy raz. Śluby, zaręczyny i nekrologi po 80 hal. od wiersza za każdy raz. — Załączniki (prospekty i t. d.) przyjmuje się za cenę 9 kor. za 100 egzemplarzy dla zamiejscowych, a 1 kor. za 100 egzemplarzy dla miejscowych prenumeratorów — Należytość należy naprzód nadesłać.

Żądamy równego, powszechnego, bezpośredniego i tajnego prawa wyborczego! Precz z kuryami!

Krwawe demonstracye w Żywcu.

Przygotowania Stojałowskiego.

Stojałowski dowiedziawszy się, że socyalnidemokraci zwołują do Żywca zgromadzenie ludowe na 11 października postanowił urządzić formalną rzeź: zamierzył nie mniej ani więcej, jak tylko „kości mu połamać albo i zabić Daszyńskiego“, jak się sam głośno przechwalał. W tym celu sam rozpuścił pogłoskę, że do Żywca ma przyjechać poseł tow. Daszyński, a następnie kazał wysłać do Krakowa, do redakcyi „Naprzodu“ sfałszowany telegram tej treści: „Daszyński przyjechać do Żywca Komitet“. W Krakowie oczywiście nikt nie przypuszczał zdrady. Tow. Daszyński musiał jednak w niedzielę być na posiedzeniu miejskiej komisyi kanałowo-wodnej i tej tylko okoliczności należy zawdzięczyć, że uszedł zasadzki zbója w sutannie.

Stojałowski tymczasem pewny swego, już wczas rano w niedzielę 11 października zjawił się w Żywcu, gdzie podburzał ciemnych okolicznych Górali i robotników z Łodygowic i z Buczkowic do zbójeckiego napadu na socyalnych demokratów. Pociągiem o 8-ej rano odjechał do Bielska, pozostawiając w Żywcu posła Fijaka. O godzinie 10½ przyjechał Stojałowski znowu do Żywca, wioząc ze sobą Stohandla i całą sforę mniejszych piesków, która, spostrzegłszy na dworcu kolejowym tow. Tadeusza Regera, natychmiast zaczęła wyć, jak dzikie bestye.

Zgromadzenie ludowe było zapowiedziane na godzinę 3 po południu. Cały czas wolny aż do rozpoczęcia zgromadzenia obrócił Stojałowski ze swymi naganiaczami na pojenie siwuchą po najobskurniejszych szynkowniach Żywca swej bandy rozbójniczej. Nareszcie o godzinie 2 Stojałowski, sam pijany, jak nieboskie stworzenie, z pijanym posłem Maćkiem Fijakiem pomaszerował na czele tej pijanej hałastry do sali ratuszowej, gdzie miało się odbyć zgromadzenie. Tu zaraz na wstępie urządził dziką napaść na urzędnika kolejowego p. Przedzisława Persowskiego, do którego, bełkocąc po pijanemu, wrzeszczał: „Gadaj, coś mówił? coś mówił? gadaj zaraz prawdę, bo kłamać wolno tylko w Sądzie! My was tu wszystkich kijami wypędzimy. Daszyński ani Reger nie mają tu co robić! My ich nauczymy dziś! Zobaczą!

Zbójecki napad na tow. Regera.

O godz. ½3 przyszedł do ratusza tow. Tadeusz Reger w towarzystwie zwołującego tow. Packana. Przed ratuszem stała grupka robotników, którzy uprzejmie powitawszy nadchodzących, odradzali im, aby nie szli na górę do sali, bo tam pijana stojałowszczyzna wyprawia orgie. Tow. Reger, nie chcąc, aby się sprawdziły przedwczesne przechwałki Stojałowskiego, który już rano wykrzykiwał po drodze: „Zobaczycie, że Reger stchórzy!“ — poszedł spokojnie do sali w towarzystwie kilku robotników. Zaledwie się pokazali, pijana tłuszcza zaczęła wyć i obrzucać tow. Regera najrozmaitszemi wyzwiskami. Po chwili jednak wrzask się uspokoił. Tymczasem Stohandel i poseł Fijak, okrążając tow. Regera, wydawali jakieś tajemne rozkazy i wskazywali swej bandzie upatrzoną ofiarę.

O godz. 3 pozostali nasi towarzysze zagaić obrady. Tow. Reger zbliżył się środkiem sali do trybuny, na której chwiejąc się na nogach stał pijany Stojałowski. W tej chwili zabełkotał Stojałowski: „Dać go tu! A bij!“ Na to hasło poseł Maciej Fijak i pijany jego brat, również pijany Fijak, rzucili się na tow. Regera z tyłu, i zaczęli bić pięściami po głowie. Tow. Reger rzekł do Stojałowskiego: „Pan za to odpowiesz!“ Stojałowski kiwa się jeszcze bardziej i wyje coś niezrozumiałego. Tow. Reger widząc, że Stojałowski sam podburza, rzuca mu w twarz: „Jesteś ksiądz łajdak i rozbójnik!“ Równocześnie potężnem uderzeniem pięścią w twarz uwalnia się od napaści posła Fijaka i zaganiając się pięściami, toruje sobie pięścią drogę ku drzwiom. Oczywiście garstka towarzyszów, obecnych na sali, staje bohatersko w obronie tow. Regera, lecz przeciwko 300 pijanym drabom nic wskórać nie może. Przy samych drzwiach poseł Fijak jeszcze raz przytrzymuje tow. Regera z tyłu, a równocześnie prawie niejaki Migdał z Łodygowic, krewny ks. Migdała, wikarego w Żywcu, ciężką pałką uderzył tow. Regera z tyłu w głowę. Krew zalała natychmiast tow. Regera. Na szczęście jednak cios ten nie ogłuszył go i nie pozbawił przytomności, tak, że tow. Reger poczęstowawszy jeszcze pięścią kilku opryszków, którzy mu drogę zastępowali, wydobył się z pośród tej zgrai.

Świadkowie tej zbójeckiej napaści zorganizowanych łotrów twierdzą, że sam arcyłotr Stojałowski własnoręcznie bił i że Stohandel popychał ludzi na tow. Regera.

Zgromadzenie stojałowczyków rozbite.

„Oszust polityczny“ widząc tow. Regera odchodzącego zalanego krwią, tryumfował... Krwiożercze jego instynkta były zadowolnione! Postanowił więc wykorzystać sposobność i jeszcze stekiem najplugawszych oszczerstw i wyzwisk, rzucanych na głowę tego, którego przed chwilą na rozkaz jego i przy jego czynnem współdziałaniu do krwi zbito, przypieczętować swoje „zwycięztwo“.

Ale wnet przekonał się, że było to gorzej niż Pyrrhusowe zwycięztwo.

Nie bacząc więc na to, że ustawa wyraźnie mówi, iż zgromadzenie nie może się odbyć, jeżeli nie ma zwołującego, sam rozpoczął obrady. Nadmiar spożytego alkoholu zamącił jednak rozumy prałata-rozbójnika i jego bandy. Długo więc wybierano, zanim nareszcie wybrano przewodniczącym niejakiego Boguckiego. Lampiarz-zbój zaczął coś mówić „o ubezpieczeniu na starość“.

Ledwie jednak wybełkotał kilka zdań, nie trzymających się kupy, na sali zagrzmiały okrzyki: „Precz ze zbójem! Lampiarzu, gdzie masz ruble?“ „Dom publiczny“ wybudowałeś dla siebie za grosz robotniczy!“ Stojałowski dał swoim znowu komendę do bicia... Lecz tym razem źle na tem wyszedł. Tymczasem bowiem robotnicy i mieszczanie żywieccy, dowiedziawszy się i niecnem pobiciu tow. Regera, w ogromnej liczbie zbiegli się do ratusza, aby ukarać rozbójników. Rozpoczęła się w sali olbrzymia bitka, w której cięgi brali stojałowczycy. Wskutek tego komisarz rozwiązał nareszcie zgromadzenie i przy pomocy żandarmów wyrzucił stojałowczyków ze sali.

Odwet i pogrom pałkarzy.

Przed ratuszem na rynku zgromadziło się pół Żywca. Co który ze zbójeckiej bandy Stojałowskiego wybiegł z bramy ratusza, odrazu go wkoło i bito na kwaśne jabłko. Na całym rynku i w przyległych ulicach słychać było tylko krzyki i jęki bitych, a wszędzie brali w skórę najemni zbóje ks. prałata. Trwało to przynajmniej z godzinę. Stojałowski tymczasem siedział formalnie jakby uwięziony w ratuszu. Jeden łotrzyk Stojałowskiego, nazwiskiem Urbaniec, groził rewolwerem i długim nożem rzeźnickim. Został oczywiście natychmiast aresztowany. Nagle zjawia się na rynku Migdał z olbrzymią pałką, całą zbroczoną krwią i pokazując ją zebranym, przechwala się: „Oto widzicie krew Regera, wytręj ją o bruk!“ Ale nie dobełkotał jeszcze, gdy dostał kilkanaście potężnych razów i pałkę mu wydarto. Pałka ta spocznie w prokuratory.

Stojałowski trzykrotnie spoliczkowany.

Powoli uciszyło się na rynku. Wtedy Stojałowski „wziął na odwagę“ i otoczony Fijakami, Stohandlem i jeszcze 30 innymi, wyszedł z ratusza. W okamgnieniu został jednak otoczony przez kilkudziesięciu ludzi, którzy zaczęli bez miłosierdzia młócić tę bandę. Straszna to była chwila. Stojałowski także dostał dwa razy w twarz; także Fijak dostał po twarzy; Stohandel ukrył się za sutanną ks. prałata Stojałowski zbity uciekł znowu do ratusza, wraz z niedobitkami swej gwardyi.

O godzinie 7 wsiadł Stojałowski do dorożki, chcąc umknąć końmi do Łodygowic, bo iść na dworzec w Zabłociu nie miał już odwagi. Tymczasem w ulicy, prowadzącej z rynku ku Zabłociu, dopadli go czujni i dzielni Żywczanie; konie zatrzymano, a powóz chciano przewrócić. Ks. prałat wyleciał jak długi do błota i bity ze wszech stron, dowlókł się z czwarakach do domu p. Białka, krupiarza. W tej chwili dostał trzeci policzek, jeżnicki kapelusz właściciela „domu publicznego“ znalazł się w kałuży błota. Stojałowski, nieprzytomny z wódki, strachu i bólu, objął za kolana p. Białka, który go chciał zupełnie słusznie wypchnąć na ulicę i błagał: „Ratuj życie kapłana katolickiego!“ Ostatecznie pozwolił mu p. Białek umknąć przez podwórze. Stojałowski, podkasawszy więc świeżo krwią obryzganą rewerendę, skakał przez płoty i rowy i nareszcie polami umknął z Żywca w hańbie i sromocie. Woźnica, który chciał dopomódz rozbójnikowi po dokonanej zbrodni do ucieczki, źle na tem wyszedł: rozbito mu kamieniem głowę, zbito konie i uszkodzono wóz, a herszt pałkarzy uciekł i nie da mu oczywiście za to wszystko ani grosza.

Socyalni demokraci panami placu boju!

W bitwie tego zazwyczaj uważa się za zwycięzcę, który zdobędzie plac boju... Podczas gdy pałkarze księdza lampiarza, dokonawszy dzikiego napadu na jednego bezbronnego tow. Regera, uciekli potem gromadnie przed żywiołowem oburzeniem na ich niecny czyn całej ludności żywieckiej,... podczas gdy oszust polityczny sam, jak najgorszy zbrodniarz samotnie, w noc ciemną i wśród deszczu przekradał się tyłami i przez pola, aby ratować życie, owo życie zwierzęcia krwi chciwego i pełnego łotrostw najgorszego kalibru, to socyalni demokraci wszędzie z największą spotykali się sympatyą. Tow. Reger zaś, umywszy się z krwi i zmieniwszy ran prędce bieliznę, wyszedł, po zaopatrzeniu ran na głowie przez lekarza sądowego, na miasto, aby, pomimo silnego bólu i niebezpieczeństwa z tem połączonego, uspokajać wzburzoną ludność osobiście i przez innych towarzyszów. I tylko tej uspokajającej działalności tow. Regera, którego ks. Stojałowski, rzekomo kapłan katolicki, z osobistej nienawiści kazał zabić, ma także do zawdzięczenia, jeżeli tym razem jeszcze pół biedy cało uszedł.

W Żywcu nie mają się jednak już więcej po co ani Stojałowski, ani Fijak, ani Stohandel pokazywać. Robotnicy postanowili bojkotować te piwiarnie i restauracye, które zechcą gościć u siebie Fijaka, a wszystkim trzem łotrzykom obiecali sowitą zapłatę, jeżeliby któremu wpadło do głowy pokazać się tylko w Żywcu...

Natomiast robotnicy, mieszczanie i inteligencya żywiecka, którzy tłumnie odprowadzili tow. Regera na kolej, serdecznie zapraszali go, aby jak najprędzej powrócił celem odbycia publicznego zgromadzenia. Takim jest ostateczny sukces zbójeckiej polityki moskalofila i pachołka stańczykowskiego ks. Stanisława Stojałowskiego.

Osobliwe przygody i doświadczenia ks. Dyonizego Suchoszczapskiego.

Ksiądz Dyonizy Suchoszczapski miał umysł żarliwy i skłonny do dociekań; w seminaryum już wzbudzało to pewną nieufność w jego zwierzchności. „Nie lubię ludzi chudych i traktujących wszystko poważnie — mówił o nim ksiądz regens Lizus-Ślizgalski — takim bowiem był Kalwin“. Ksiądz regens, przez codzienne używanie tego porównania, przywiązał się do niego tak, jak do swoich safianowych pantofli i spoglądał na Suchoszczapskiego podejrzliwie i z pewnem zdumieniem, gdyż widział w nim już przyszłego herezyarchę, a więc istotę należącą do gatunku głęboko dla niego niepojętego. Wprost przeciwnego zdania co do przyszłości młodego alumna był ksiądz profesor Dogmat-Twardzicki, który w ciasnem i upartem czole Suchoszczapskiego wyczytał uzdolnienie do roli prokuratora św. Inkwizycyi, na intencyę przywrócenia której modlił się codzień, a suszył, leżał krzyżem i biczował się co piątek, rozdając w tym dniu także hojne jałmużny. To też nie wątpił, że Bóg miłosierny pozwoli mu jeszcze przed powołaniem go do swej chwały widzieć tak upragnioną przez jego chrześcijańskie serce śmierć na stosie — osób, których listę krótszą i szczegółową starannie opracowywał i odczytywał codzień z lubością przed udaniem się na spoczynek i po odmówieniu pacierzy wieczornych i rano podczas karmienia gołębi, w których niezmiernie był rozkochany. Był to bowiem człowiek cichy i niezmiernie łagodny.

Różnica w zdaniach co do przyszłości Suchoszczapskiego stawała się niekiedy przedmiotem sporów pomiędzy jego zwierzchnikami i kierownikami moralnymi.

— Ten człowiek przywiązuje zbyt wielką wagę do dogmatów, zajmuje się nimi zbyt uporczywie; wszystko musi zgłębić, poznać, sformułować, nieustannie wdaje się w jakieś rozróżnienia, kontrowersye — mówił ksiądz Ślizgalski.

— W ten sposób może przygotowuje go palec boży do wielkiego posłannictwa, jakie go czeka w przyszłości. Znać musi dokładnie dobre ścieżki ten, kto ma kiedyś zbaczających nawracać — odpowiadał ksiądz prof. Twardzicki.

Ksiądz regens zwykle milkł na ten argument, raz jednak, będąc szczególniej podniecony, nie wytrzymał:

— Ksiądz profesor zawsze swoje, a tymczasem św. Inkwizycyą jest bezwzględnie instytucyą przestarzałą — i z duchem czasu niezgodną.

Usłyszawszy to, ksiądz Twardzicki oniemiał, popatrzył na księdza regensa dziwnym wzrokiem, ale nie powiedział już nic w tym przedmiocie, lecz porozmawiawszy z księdzem Lizus-Ślizgalskim z niezwykłą uprzejmością i słodyczą o różnych sprawach bieżących, powrócił do siebie i karmiąc swoje gołąbki, wpisał nazwisko księdza regensa — zraźu na listę bardziej szczegółową — z dodatkiem: „podejrzany“, potem, namyśliwszy się, skreślił je i wpisał na listę krótszą osób szczególniej obciążonych w jego oczach — a obok niego postawił wyraz: „pelagianista“. To uczyniwszy, podszedł do biurka i podkreślił uczynioną notatkę czerwonym atramentem, przewrócił w notesiku kilka stronic i w rubryce wydatków osobistych wpisał: „grochu cukrowego dla gołębi kwarta — groszy 20“.

Po ukończeniu seminaryum i otrzymaniu święceń kapłańskich ksiądz Suchoszczapski ani twórcą nowej herezyi, ani członkiem św. Inkwizycyi nie został, lecz objął tymczasowo jeden z wakujących wikaryatów i oddał się całkowicie swoim obowiązkom i systematycznemu zastanawianiu się nad nimi. Ponieważ zaś myślał zarówno wolno, jak wytrwale, więc po upływie dwóch lat zaledwie sformułował wątpliwości, jakie narzucały mu się z powodu opłaty pobieranej za nabożeństwa żałobne. „Nabożeństwa te są potrzebne — myślał — do zbawienia duszy, zależą zaś od tego, czy rodzina zmarłego lub osoby o nim pamiętające mają pieniądze, czyżby więc zbawienie miało też od stanu majątkowego zależeć“. Sformułowawszy ten wniosek zaniepokoił się i napisał w trapiącej go sprawie specyalny list do dziekana. Zamiast odpowiedzi odebrał wezwanie stawienia się osobiście, które zresztą było zredagowane tak uprzejmie, że wyglądało raczej na zaproszenie.

Dziekan księdza Suchoszczapskiego należał do rasy księży „wytwornie tłustych“, miał dobrego kucharza i podobno niezłą bibliotekę. Przyjął księdza Suchoszczapskiego niezmiernie uprzejmie, posadził go w amarantowym fotelu i poczęstował dobrem cygarem.

— Bardzo zainteresował mnie wasz list, księże — rzekł — dziwię się tylko i zrozumieć nie mogę, co was właściwie niepokoi i zatrważa. Skoro okazuje się, że pieniądz jest potrzebny do zbawienia — grzechem byłoby powątpiewać o tem.

— Jednakże ewangelia mówi, że łatwiej wielbłądowi jest przejść przez ucho igielne, niźli bogatemu wnijść do królestwa bożego, — wykrztusił nieśmiało ks. wikary.

— Należy oczywiście rozumieć, że tu zostały opuszczone słowa, „jeżeli nie jest dosyć bogaty“, gdyż mogłyby one zbyt wielu przerażać i zniechęcać.

Ksiądz Suchoszczapski mimowoli usta roztworzył z podziwu: wydało mu się to prostem i logicznem.

— Dlaczegóż więc, — rzekł po chwili, — duchowni czynią ślub ubóstwa?

— Ależ, naturalnie, dlatego, aby dać poznać, że jedynie tak wysoki sakrament jak kapłaństwo majątek zastąpić może.

Ksiądz dziekan spostrzegł wyraz osłupienia na twarzy Suchoszczapskiego, uśmiechnął się i rzekł: „Wydaje się to wam niecc nowem, nic dziwnego, nic dziwnego: w kościele katolickim wieje dziś nowy prąd, zbliżenie, że tak powiem do życia i jego wymagań. To trudno, kościół jest dla ludzi, i jeżeli oni oddalają się od niego, on musi podejść do nich. Trudne to nieraz, niewątpliwie, ale przy dobrej woli, stopniowo, wszystko da się wykonać.

Tu ksiądz dziekan zamilkł na chwilę, przełknął ślinę, wreszcie zaczerwieniwszy się z

rzekł: „Tak np. ja właśnie pracuję nad dziełem, w którem gdy wyjdzie, znajdziecie księże wikary, rozwiązanie niepokojących was pytań. Tymczasem zaś sądzę, że ułatwi wam zrozumienie wielu rzeczy, gdybym wam przeczytał stronicę, którą przed chwilą napisałem.

Ksiądz Suchoszczapski skłonił się, zamamrotał coś i opuścił cygaro na dywan. Wobec tego ksiądz dziekan wziął do ręki gruby zeszyt. Rozdział zatytułowany jest „Neokatolickie pojmowanie zasad wiary, stwierdzone przez zasady oczyszczonego od błędów Darwina“. Na brzmienie tego nazwiska ksiądz Suchoszczapski drgnął mimowoli, był bowiem przed kilku laty obecny przy autodafé w miniaturze, podczas którego ksiądz Dogmat Twardzicki spalił na zaimprowizowanym z kilku pudełek zapałek stosie wyciętą z fotografii figurkę, noszącą to właśnie miano i przybraną w sporządzony z bibuły całkowity, zgodny z tradycyą kostyum kacerski.

Ksiądz dziekan zaś mówił tymczasem: Widzę, że was to dziwi, że mówię o Darwinie, ale zobaczycie, że jeżeli się tylko usunie pewne nieporozumienia, mówi on rzeczy bardzo rozumne i przez zakon OO. jezuitów dawno praktykowane.

Początkowo, mówił, chciałem zatytułować swą pracę: „Podstawy neokatolicyzmu, czyli zasady wiary katolickiej na użytek majętnych i dobrze myślących bezwyznaniowców systematycznie wyłożone“, odradzono mi to jednak, zmieniłem więc tytuł i dzisiaj brzmi on: „Neokatolicyzm, czyli zasady wiary katolickiej, pogodzonej z wymaganiami ekonomii politycznej i prawami przemysłowego wzrostu społeczeństw“.

To powiedziawszy zaczął czytać: „Teorya Darwina widzi źródło postępu i rozwoju w walce o byt, w empirycznem swem zaślepieniu jednak i zacieśnieniu nie dostrzega głębszych przyczyn i praw rządzących tą walką. Czyż bowiem nie jest ona dziełem Opatrzności i czyliż Wola Boża nie ujawnia się w niej? Streścić więc całą zdrową istotę Darwinizmu można w ten sposób: „Bóg jest zawsze ze zwyciężającemi“. Jawną zaś jest rzeczą, że Kościół katolicki w całym rozwoju dziejowym kierował się tą zasadą i brzydził się zawsze słabszym, jak potępionym. Słabość bowiem może być tylko skutkiem Gniewu Bożego, inaczej niepodobna jej zrozumieć. Temi prawidłami kierować się powinien i rzeczywiście kieruje się Matka Nasza Kościół Święty w trudnych dzisiejszych okolicznościach, jak np. w sporze germano-słowiańskim. Tam gdzie pierwiastek germański jest silniejszy, być Germaninem znaczy to samo, co znajdować się w stanie łaski, a każdy katolik do stanu tego dążyć powinien, a więc starać się być Niemcem. Czy znaczy to jednak, aby kościół nasz sprzyjał szczególniej Niemcom? Nie, jest on wzniesiony ponad narodowości i rasy i skoro się tylko okaże, że Niemcy są słabsi, natychmiast się od nich odwróci“.

Długo jeszcze czytał wytworny dziekan, a gdy wreszcie ksiądz Suchoszczapski do domu powracał, głowę miał pełną nowych myśli i ważnych postanowień.

Jakoż w krótkim czasie rozeszła się po okolicy wiadomość, że odmówił on rozgrzeszenia jednemu ze znanych ze skąpstwa obywateli okolicznych, Kalasantemu Starowieprznickiemu, za to, że w jakiemś niepojętem dla samego siebie uniesieniu darował połowę zaległego procentu wdowie jednego ze swych wierzycieli. Ksiądz wikary ujrzał w tem brak troskliwości o zbawienie wieczne, „gdyż łatwiej jest przejść wielbłądowi przez ucho igielne, niźli bogatemu wnijść do Królestwa Niebieskiego“, jeśli ma za mało. Któż zaś może twierdzić, że ma dosyć. Czyliż nie jest pychą szatańską poprzestawać na tem, co się ma i nie starać się o przymnożenie kapitału, który w każdym czasie na mszę żałobną zamieniony być może? Czy może Starowieprznicki sądzi, że modlitwy kościoła są dla niego zbyteczne i w takim razie istotnie nawskroś grzeszną i zatwardziałą ma duszę.

Skruszony kapitalista, wyjednawszy wreszcie odpuszczenie tak ciężkiego grzechu pychy i zatwardziałości, po powrocie do domu, rozpisał do swych dłużników listy następującej treści: „Niniejszem mam zaszczyt zawiadomić WP., że nawrócony przez spowiednika mojego i nie chcąc narażać wiecznego zbawienia duszy mojej, zmuszony jestem podwyższyć procent, jaki od WP. pobieram, do wysokości“, tu następowała cyfra, pozostająca w stosunku wprost odwrotnym do stanu majątkowego adresata, gdyż dla ludzi bogatszych Starowieprznicki, pomny nauk księdza Suchoszczapskiego, żywił pewien szacunek, jako takich, którzy mają stosunkowo więcej szans.

Współzawodnik Starowieprznickiego, małomiasteczkowy kapitalista Srul Pijawker, dowiedziawszy się o tem, zmartwił się bardzo. Po dłuższym zaś namyśle postanowił przyjąć katolicyzm, co też wykonał ku wielkiej radości księdza Suchoszczapskiego i zawiadomionego o wielkim tryumfie swych zasad dziekana.

Na drugi dzień zaś po chrzcie, dłużnicy p. Stanisława (dawniej Srula) Pijawkera, otrzymali okólnik, w którym zawiadamiał on ich o swojem wstąpieniu na łono kościoła, a także o tem, „że z tego powodu będzie on od dziś pobierać procenty według neo-katolickiej normy“; tu następowały cyfry zupełnie nieprawdopodobne.

Wkrótce potem w wikaryacie księdza Suchoszczapskiego zdarzył się inny wypadek, który odbił się przemożnie na całej jego karyerze. W jednej z okolicznych wsi zdarzył się wypadek: młockarnia urwała rękę parobkowi. Majątek należał do Niemca Johanna Schweinstimmunga, który bezwzględnie odmówił jakiegokolwiek odszkodowania parobkowi i jego rodzinie, twierdząc, że oni to sami sobie są winni, gdyż spowodowali wypadek przez zwykłą głupotę „polskiego bydła“ i że dowodem jego niemieckiej wspaniałomyślności jest, że nie będzie on na nich swych strat dochodził.

Ponieważ p. Schweinstimmung był katolikiem, więc chłopi postanowili udać się do księdza, aby on wpływem swym wyjednał dla nich coś od dziedzica.

Ksiądz Suchoszczapski przyjął ich i żony ich z twarzą surową, a razem cierpiącą; znać było, że całą duszą boleje nad ich upadkiem.

„Cieszy mnie to, bracia moi, rzekł, że przychodzicie tu z własnego popędu. Świadczy to, że nie wygasły jeszcze wszystkie iskierki prawdziwego światła, jakie kościół katolicki w duszach wiernych roznieca. Tak jest, bracia moi, nie rozpaczajcie, bo dobroć i łaska Matki Naszej nie mają granic, nie wpadajcie jednak w zbytnie samodufanie, lecz póki czas wejdźcie na drogę pokuty i żalu za winy. Bo, bracia moi, nie mogę zataić przed wami, że winy wasze są ciężkie, bardzo ciężkie, i zważcie tylko, p. Schweinstimmung jest bogaty, a wy go narażacie na stratę, jest Niemcem, a wy śmiecie się na niego skarżyć, maszyna jego kosztuje pieniądze, a wy go niszczycie. A czy wiecie wy, że majątek jest błogosławieństwem i znakiem widomym łaski“ i... tak długo jeszcze mówił ksiądz Suchoszczapski.

Chłopi słuchali, wzdychając, a jedna z kobiet staruszka, wysoka, zupełnie siwa, o czarnych wielkich oczach i sinych ustach, bólem i znużeniem zwartych, patrzyła na księdza z wyrazem zalęknionej pokory i raz poraz biła się w piersi. Było coś w spojrzeniu tem, co obmotywało się naokoło serca księdza Suchoszczapskiego i ściskało mu je jakimś dawno zapomianym skurczem. Lecz on nie zważał na to i mówił o tem, że siła jest zawsze oznaką i dowodem łaski Bożej, że Bóg jest z silniejszymi, bo i jakże inaczej silniejszymiby być mogli. Rozeszli się, kiwając głowami, a jeden z nich zwany przez towarzyszy Buhaj, wyprowadził z nauki księdza wniosek, że Bóg jest dla tego z Schweinstimmungiem, iż uważa go za silniejszego. Zaczaił się na dziedzica i bardzo go poturbował, poczem udał się do księdza, obwieszczając mu, że obecnie pan Bóg jest z nim, Buhajem i że pan Schweinstimmung powinien wypłacić odszkodowanie. Sprawa przybrała jednak przykry dla Buhaja obrót, księdza Suchoszczapskiego zaś wysłała zwierzchność jego do klasztoru na rekolekcye „za brak taktu“.

Wyrok ten przyjął ksiądz Suchoszczapski z tępem zdumieniem: zaczęło się w nim dziać teraz coś dziwnego. W głąb duszy wżerały mu się wciąż czarne, zalękliwe oczy. Zdawało mu się, że widział on je już kiedyś u kobiety za więdłej i siwiejącej, którą zwał matką, w czasie, gdy jedyną matką jego nie był jeszcze kościół. Powtarzał: matka, i chciał zbudzić coś, co trzepotało się bezsilnie, jak źródło piaskiem zasypane, ale wydobyć się na wierzch nie mogło, by orzeźwić spiekotę jego zaschłego w chudych piersiach serca. I tylko smutne, czarne oczy szukały coś w duszy, o coś błagały swą trwogą, lecz on napróżno szukał w sobie czegoś, czem mógłby ich niemą, lękliwą prośbę zaspokoić. Nad duszą jego jak ponad drogą, którą jechał, unosiły się tumany żółtego kurzu i nagle poczuł ksiądz Suchoszczapski, że czegoś pragnie, usłyszał w sercu swem jakiś stłumiony, żałosny płacz, dziecinnej, nieukojonej tęsknicy. I zdało mu się nagle, że tęskni za zielenią traw i drzew, i za błękitem nieba i za szerokim oddechem wolnej piersi i za wilgotnem tchnieniem czarnej ziemi, w którą ojciec jego złote, promieniejące w słońcu ziarno rzucał. Pamiętał, że wydawało mu się raz, iż ojciec światło i promień sieje w czarną rolę, nagle z wspomnieniem tem owionęło go powietrze dzieciństwa, obudziła się w nim zapomniana, z ziemią zrosła, krzepka, chłopska dusza. Ręka jego zapragnęła pługa lub kosy, tęsknym ruchem wyrzucała w żar piasków nieobecne ziarno.

I nagle z myśli swych zbudzony, spostrzegł ksiądz Suchoszczapski, że nie jedzie sam na bryczce, obok niego siedział w piaskowego koloru kitlu jegomość o zaschłej pergaminowej twarzy i rękach chudych i długich, dziwnie do łapek pajęczych podobnych. Oczy nieznajomego biegały wciąż tak, że niepodobna było ich spojrzenia uchwycić.

— Tak, rzekł on, niepytany, jestem Hirngespinnst, dr Hirngespinnst, nazywają mnie także kanonikiem, ale to już drugorzędne. Główna rzecz nazwisko Hirngespinnst — *spinne* — snuję pajęczynę z myśli, he, he, pomiędzy życiem i duszą dziwną pajęczynę, na której człowiek zawisa, a ona go obmota zewsząd, ze wszyskich stron, w serce się weciśnie, serce oplecie jak kokon, do życia nie dopuści, he, he. I bardzo niepotrzebną jest rzeczą szamotać się, pajęczynka mocna, niepopuści, he, he. Nieprawdaż, księżuniu, mocna. I tak się werznie, wpije, że o wszystkiem innem człowiek zapomni i o niczem innem myśleć nie zdoła. Bryczka jechała wolno, ksiądz Suchoszczapski jednym susem wyskoczył z niej, rzucił się w bok na przełaj, poprzez pola, lecz tuż poza sobą słyszał kroki tego niespodziewanego towarzysza podróży i jego śmieszek drewniany i skrzypiący. Ksiądz Suchoszczapski biegł, jak mógł, najszybciej, zrzucił sutannę, by nie przeszkadzała mu w drodze, na jedną chwilę przypadł ustami do źródła, tryskającego niby płynny kryształ chłodny i rzeźki i biegł znowu, a Hirngespinnst był tuż za nim, tuż za nim.

Dopadł do lasu, upadł bez tchu na miękkie mchy. Drzewa szumiały nad nim poważnie, pochylając swe sękate dobre gałęzie. Słońce przeglądało poprzez liście wielkie i miłosne. Ksiądz Suchoszczapski uczuł, że tryska w nim źródło, długoletnim piaskiem przysypane, że budzi się w nim coś, co go z mchami temi, drzewami, słońcem zespala.

I tu dopadł go Hirngespinnst, cienkiemi rękoma szyję oplótł i śmiał się, ściskając coraz mocniej, mocniej.

Drzewa szumiały, uroczyste i bezgrzeszne, słońce spływało miłością i złotem, a Hirngespinnst śmiał się cicho, oplatając szyję Suchoszczapskiego wpijającemi się w nią cienkiemi rękoma. (Z warszawskiego „Głosu“ Nr. 40).

A. Czepiel.

Z TEATRU.

Nieznane nazwisko debiutującego autora (jest nim słuchacz uniwersytetu warszawskiego), a zapewne i nagroda konkursowa, która w oczach publiczności stała się jakimś równoważnikiem świadectwa ubóstwa, sprawiły, iż w sobotę sala teatralna świeciła pustkami. Na taki ostracyzm jednak „Noc lipcowa“ mimo wielu stron słabych, jak sądzę, nie zasługuje.

Akcya sztuki rozgrywa się na wsi. Już w ekspozycyi w ironicznem świetle przedstawia autor stosunek młodego dziedzica do ludu. Pan dziedzic, wywiózłszy zapewne ze studyów w Warszawie pewien zasób humanitarnych „zasad“ i poglądów na chłopa, posiada jakąś taką ambicyę na punkcie stworzenia dogodniejszych mieszkań dla swej czeladzi, nie pozwala się całować po rękach — ale chłopem (wyjątek chyba gładkie liczka w guście Jagny) brzydzi się nie mniej od swego rządcy, czy ekonoma, reprezentanta tradycyj harapowych. Niepotrzebnie jednak autor w każdym akcie wodzi po scenie te dwie postaci. Podnosi to tylko nieprawdopodobieństwo podanego przezeń faktu, iż Sworzeń po powrocie z żołnierki nie domyśla się, kto jest ojcem drugiego dziecka — kwilącego w jego izbie, i tak dalekim jest od właściwego tropu (choć nb. już złe języki powinny były go poinformować), iż w końcowej scenie publicznego samooskarżenia się, będącej jakby echem z tołstojowskiej „Potęgi ciemnoty“, do dziedzica się zwraca ze słowami skruchy nad zbrodnią, popełnioną na „obcem“ niemowlęciu.

Z tej krótkiej relacyi widać, iż „Noc lipcowa“ ogólnym zarysem swego konfliktu przypomina nieco „Krystę“ Konopnickiej. Tylko, że Krysta-żołnierka po chwili powitalnego upojenia odbiega męża i rzuca się w „wezbraną, z głuchym hukiem toczącą się wodę“. Nie z tych reminiscencyj jednak uczyniłbym główny zarzut początkującemu autorowi, raczej z tego, iż za mało nacisku kładzie na psychologię swoich postaci, a zbytnio rozprasza się w kierunku epizodów rodzajowych — wedle utartych szablonów repertuaru ludowego. (Zupełnie np. niepotrzebną jest scena przepijania przed chatą w akcie III, bo o tem, co za uroczystość obchodzą pod dachem Sworzeniów, informuje widza dostatecznie rozmowa Łagasa z Gaduliną).

Tam, gdzie autor chce być bardziej modernistycznym — „nastrojowym“, podchwytuje również motywy bardzo zużyte: fujarki i dzwony... lub plącze się w próbie ukucia rodzaju *leitmotiv'u* ze słów tytułowych, co pociąga za sobą już w akcie I. niezbyt wiarygodnie umotywowaną i wykonaną wstawkę — w rodzaju kupletu — o miłości przy upajającem tchnieniu nocy lipcowej. Przed dziedzicem wygłasza ją Jagna.

Z takich usterek wnosić można, iż autor znalazł przeszkodę do pogłębienia swej sztuki i w zbyt powierzchownej, być może z wakacyjnych wrażeń tylko pochodzącej, znajomości ludu wiejskiego.

Główne role spoczywały w rękach p. Wysockiej (Jagna) i p. Sosnowskiego (Sworzeń). P. Wysocka, jak zresztą i jej partner, nie znalazła tu wiele pola do popisu, przyczem, o ile sądzić można z premiery, niedostatecznie z gwarą ludową się zżyła. Z figur drugoplanowych zaprezentował się najkorzystniej p. Przybyłowicz, stworzywszy bardzo trafną sylwetkę rządcy *minorum gentium.* Na punkcie kostyumów panował „tryb bezokoliczny“. Nie chodzi mi o taką ścisłość, ażeby z dokładnością jakiegoś muzeum etnograficznego odtwarzano odzież wiejską z tej okolicy, dokąd autor akcyę swej sztuki przenosi, ale taka maskarada, iż w jednej wsi, jak na odpuście częstochowskim, widać najróżniejsze jakieś typy strojów, ogromnie razi. Trzeba już było uzupełnić komplet kostyumów najobficiej reprezentowanych: zgrzebnych koszul, na wierzch spodni wysuniętych, brązowych sukman z wyszyciami i słomkowych kapeluszy. Wyglądałoby to z lubelska, a choćby się może nie godziło geograficznie z tą gwarą, którą autor usiłuje reprodukować, byłoby stokroć lepszem, niż ta dowolność, o której mowa.

m.

KRONIKA.

Kalendarzyk historyczny. 12 października. 1492. Krzysztof Kolumb odkrywa Amerykę. — 1899. Początek wojny Anglii z Transvaalem. 1901. Strejki robotników piekarskich we Włoszech.

Teatr miejski w Krakowie.

Wtorek: „Ludka“ (Loute), krotochwila w 4 aktach P. Vebera.

Środa: „Klub kawalerów“, komedya w 3 aktach M. Bałuckiego (popularne).

Interpelacya tow. Daszyńskiego przed sądem wojennym w Przemyślu. Interpelacya tow. Daszyńskiego o śmierci samobójczej żołnierza artyleryi Wierciucha, stała się, jak już raz donosiliśmy przedmiotem śledztwa wojskowego. Jako winnych śmierci Wierciucha aresztowano plutonowego Wydrę, kaprala Ciciręgę i frajtra Pawłowskiego. Wszystkich oskarżono o zbrodnię znęcania się nad podwładnymi. Aresztowani tłumaczą się, że byli tylko ślepymi narzędziami w rękach kapitana Kramera i porucznika Bragmana, z polecenia których brali „na ostro“ Wierciucha... aż wreszcie odebrał sobie życie.

Krakowska rada miejska odbędzie nadzwyczajne posiedzenie dziś o godz. 4 popołudniu. Na porządku dziennym sprawa układu między gminą m. Krakowa a Grzegórzkami o przyłączenie parcel.

Krwawe zajście. W nocy z soboty na niedzielę postrzelił z rewolweru przy ul. Szlak nieznany z nazwiska konduktor kolejowy chłopca Urbańczyka. Kula utkwiła mu w brzuchu. Przyczyną krwawego zajścia były uwagi, jakie Urbańczyk wraz z innymi chłopcami czynił o towarzyszącej konduktorowi kobiecie.

Tysiąc koron w krawatce. P. Henryk Stein, urzędnik w biurze p. Daniela Rainera przy ulicy Sławkowskiej l. 31, obliczał onegdaj popołudniu pieniądze i kwotę 3000 koron schował przed ostatecznem załatwieniem rachunków do biurka, gdzie miał podręczną kasę. Gdy przyszedł wczoraj i otworzył kasę podręczną w biurku, spostrzegł brak banknotu na 1000 koron. Wezwano policyę. Przyszedł komisarz Closman, oraz inspektor Hradecki i ci sprawdzili, iż w biurze pracowało trzech młodych praktykantów, a podejrzenie skierowało się przeciw jednemu z nich, Henrykowi Marguliesowi. Młodzieniec uczuł się bardzo dotkniętym, gdy go poproszono o zwrot banknotu. Ostatecznie zaprowadzono go do aresztów policyjnych pod telegrafem i zarządzono ścisłą rewizyę, która jednak na razie nie dała żadnego wyniku. Dopiero na końcu postanowiono zbadać jeszcze krawatkę Marguliesa i w niej w istocie znaleziono ukryty bardzo zręcznie banknot. Margulies będzie odstawiony do sądu.

Śmierć Waleryi Marrené Morzkowskiej. Znana i zasłużona literatka i powieściopisarka Walerya Marrené Morzkowska zmarła w Warszawie w sobotę po dłuższej chorobie.

Dunajewski jako cenzor. Z Tarnowa piszą nam: Zamiast zapowiedzianego dramatu p. K. Ciołkosza p. t. „Za ojczyznę“, urządziła trupa p. Zawadzkiego t. zw. „Wieczór śmiechu“.

Po przedstawieniu udała się cała publiczność o godz. 11 w nocy (z czwartku na piątek) pod gmach starostwa, gdzie odśpiewano „Czerwony sztandar“ i „Gdy naród do boju“. Ogromna demonstracya zakończyła się okrzykami: precz z Dunajewskim, hańba mu i t. d.

TELEGRAMY

Przesilenie na Węgrzech.

Budapeszt, 12 października. Węgierskie biuro korespondencyjne donosi, że cesarz powołał do siebie hr. Juliusza Andrassego, Perczela i hr. Stefana Tiszę, aby się poinformować o położeniu. Dziś przed południem będą oni na osobnem posłuchaniu.

Bunt w seminaryum.

Budapeszt, 11 października. Węg. biuro kor. donosi z Ostrzyhomia o wydaleniu z tamtejszego arcybiskupiego seminaryum 82 uczniów za opór wobec jednego z nauczycieli.

Ku czci Bismarcka i hakatyzmu.

Poznań. 12 października. Wczoraj odbyła się tu prowokacya uczuć polskich przez odsłonięcie pomnika Bismarcka. Potem nastąpił bankiet, na którym minister Hammerstein wielbił zasługi Bismarcka jako pierwszego, który wprowadził obecną politykę w prowincyach wschodnich.

Międzynarodowa konferencya sanitarna.

Paryż, 11 października. Wczoraj popołudniu w ministerstwie spraw zewnętrznych nastąpiło otwarcie międzynarodowej konferencyi sanitarnej, którą zagaił minister Delcassé.

Mowa Combesa.

Clermont Ferrand, 12 października. Przed południem odbyło się tu w obecności prezydenta gabinetu Combesa, oraz ministrów wojny i rolnictwa, odsłonięcie pomnika Vercingetorixa. Minister wojny w wygłoszonej z okazyi uroczystości mowie podniósł, że Vercingetorix był pierwszym, który wzbudził ducha patryotyzmu francuskiego. Francya następnie uzyskała ostatecznie wolność świecką, ale jeszcze dziś walczy o niezawisłość duchową. Aby i tę uzyskać, potrzeba być owianym szlachetnym duchem Vercingetorixa. Mowę przyjęto burzliwymi oklaskami.

Następnie odbył się bankiet dla 4000 osób, w którym wzięli także udział wymienieni powyżej ministrowie.

Redaktor odpowiedzialny i wydawca: Kazimierz Kaczanowski. Z drukarni Władysława Teodorczuka i S-ki w Krakowie, Basztowa, Hotel Centralny (Nr. telefonu 510.)